

Teksty Drugie 2000, 1-2, s. 4-6



W kółko o nim

Zdzisław Łapiński

W kółko o nim

Socrealizm jako temat literaturoznawczy od dawna stracił dar przyciągania czytelników, tych bezinteresownych, oczywiście (bo specjalistów nic nie potrafi odstraszyć). Socrealizm zaczyna śmiertelnie nudzić. Nic dziwnego. Nudził zawsze, od samego początku. Płody socrealizmu były w PRL od urodzenia martwe. Martwe nie tylko z punktu widzenia niezbyt wygórowanych wymagań estetycznych, ale i w sensie pragmatycznym. Nie umiały przemówić do odbiorcy tak, jak w dzisiejszych czasach potrafi to robić kultura masowa. Co więcej, dzieła tej sztuki, pod względem swej siły perswazyjnej, ustępowały nawet niektórym późniejszym aktom nagiej propagandy, nie owijanej już w artystyczną materię. Takim na przykład aktom, jak marcowa kampania antysemicka w 1968 roku. Ta propaganda „chwytala”, podczas gdy nie chwytaly stalinowskie wiersze i powieści. Niemniej, była to technika wypracowana w okresie wcześniejszym, tyle że tym razem w służbie treści jaskrawo niezgodnych z doktryną. Michał Głowiński, niezmordowany kronikarz i natchniony objaśniacz nowomowy, ukazuje w bieżącym numerze naszego pisma jeszcze jeden aspekt tej techniki, wychodząc od zdemonizowanego wówczas pojęcia „inspiratorów”.

Wydaje się, że socrealizm – inaczej niż awangardowa sztuka sowiecka sprzed 1930 roku – na własną rękę, w oderwaniu od pozostałych składników ówczesnej rzeczywistości, nie zindoktrynowałby nikogo. Natomiast w połączeniu z pozostałymi formami psychicznego nacisku tworzył on zamknięty świat wirtualny, który nakładał się na świat empiryczny w sposób wywołujący stan kontrolowanej schizofrenii. Dla niektórych współczesnych rosyjskich teoretyków postmodernizmu jest to nawet powód do perwersyjnej dumy – że prawdziwa ponowoczesność narodziła się u nich. Jak bardzo jednak te dwa porządki wirtualne różnią się od siebie, unaocznia szkic Jacka Łukasiewicza. Szkic ten z sugestywnością koszmaru sennego odtwarza klimat, w jakim tkwił konsument „socjalistycznej kultury”.

Książek można było unikać (jeśli nie było się nieszczęsnym polonistą), ale nie można było chodzić po mieście z zamkniętymi oczyma. Wojciech Tomasik, od dawna czołowy autorytet w dziedzinie socrealizmu literackiego, w swoim ostatnim dziele (Inżynieria dusz. Literatura realizmu socjalistycznego w planie „propagandy monumentalnej”, Wrocław 1999) zajął się przede wszystkim semiotyką architektury i urbanistyki oraz jej związkiem z tekstami werbalnymi. Teraz kontynuuje swoją interpretację stalinowskiej „sztuki totalnej” na przykładzie jej arcytworu, Nowej Huty.

Prymitywna sztuka, zbrutalizowane życie literackie, minimum informacji dopuszczonych do społecznego obiegu. Ale im mniej mówi się wprost, tym więcej trzeba dać do zrozumienia pośrednio. Wewnętrzne sprzeczności, zwłaszcza zaś sprzeczność między programem oficjalnym a realizowanym, między tym, czego na pozór oczekiwano od ludzi, a czego naprawdę od nich wymagano – zmuszały do semiotycznej wirtuozerii zachowań, której uczyli się wszyscy, od góry do dołu. Bliższe przyjrzenie się tym zachowaniom może doprowadzić do nieoczekiwanych wniosków. Na przykład sprawa samokrytyki. Obrzęd ten był na tyle ważny nie tylko w życiu literackim, ale i w życiu w ogóle, że zajęli się nim aż dwaj nasi autorzy, Jerzy Smulski i Grzegorz Wołowicz, obaj świetni znawcy epoki. Intrygująca zwłaszcza jest hipoteza Wołowca: prawo do samokrytyki na forum publicznym bywało formą przywileju, etapem na drodze do dalszego awansu politycznego.

Z samej istoty systemu wynikało, że im bliżej stanu faktycznego było słowo, tym bardziej je utajniano. Równocześnie bzik biurokratyczny, a raczej chęć posiadania na każdego „haka”, nakazywał skrzętnie przechowywać każdy świstek papieru. Przede wszystkim z myślą o historykach literatury zajmujących się tamtym okresem publikujemy spory blok materiałów archiwalnych, przygotowany przez pracownika Szkota, profesora polonistyki na Uniwersytecie w Glasgow, Johna Batesa. Dla tych, których jeszcze nie znużył czarny humor tekstów cenzorskich, może to być ciąg dalszy zabawy, zapoczątkowanej dwadzieścia parę lat temu przez zbiegłego do Szwecji urzędnika z ul. Mysiej.

Nie wszystko, co się wtedy nie ukazało, musiało być politycznie niesłuszne. Żadnych wątpliwości cenzury nie mogła budzić gawęda Juliana Tuwima. Jeśli nie ogłoszono jej drukiem, to zapewne dlatego, że autor w oczach redaktorów „Nowej Kultury” zbyt grubymi nićmi szył swój tekst i mimowoli demaskował powszechną wówczas wśród pisarzy starszego pokolenia praktykę – iść za swymi dawnymi upodobaniami, doczepiając na koniec wiernopoddańczą deklarację. Dziś, z tych samych powodów, gawęda ta staje się godnym publikacji dokumentem.

Socrealizm na gruncie polskim był chwastem, transplantowanym ze swojej macierzystej gleby. Tam, w Rosji sowieckiej, wyrastał w sposób bardziej naturalny z lokalnych tradycji, tradycji sztuki wysokiej i niskiej. Przede wszystkim zaś trwał przez dziesięciolecia, towarzyszył ludziom od kolebki po grób. Przeniknął wszystkie sfery wyobraźni społecznej. Zabytki kultury realizmu socjalistycznego mają u nas obecnie

Wstęp

charakter archeologicznych wykopalisk, których sens funkcjonalny trzeba z mozołem odtwarzać, zaś ich emocjonalną aurę potrafią wywołać tylko autorzy długowieczni albo obdarzeni wyjątkowym słuchem historycznym.

Tymczasem na terenie dawnych Sowietów większość społeczeństwa obraca się ciągle jeszcze w środowisku kultury potocznej uformowanej w epoce realnego komunizmu. A w kręgach sztuki wyrafinowanej socrealizm przeobrażał się stopniowo – począwszy od lat osiemdziesiątych – w tzw. socart, szyderczo-nostalgiczną grę z ikonografią sowiecką. Błyskotliwym przewodnikiem po odchodzącym z wolna w przeszłość świecie sowieckiej codzienności jest książka Swietlany Boym, *Common Places: Mythologies of Everyday Life in Russia* (Cambridge, Mass., Harvard UP, 1994). Już zresztą i dla Boym, przedstawicielki ostatniej i w pełni zadomowionej na Zachodzie generacji Rosjan, którzy zdążyli jeszcze zachować pamięć dogorywającego ustroju, odczytywanie zacierających się znaczeń symbolicznych jest czynnością z zakresu archeologii. Boym robi to z brawurą, dając przy okazji zarys powstałej w XIX wieku tradycji – wypracowanej wspólnym wysiłkiem Cerkwi, Samodzierżawia, radykalnej inteligencji i genialnych pisarzy – pogardliwego stosunku do potrzeb życia codziennego jako do wyrazu poszłości. A tę poszłość tak Boym opisuje:

Poszłość jest rosyjską wersją banalności [...] Jednym tym słowem objęto trywialność, wulgaryzm, seksualną rozwiązłość, brak uduchowienia. Wojna z poszłością w okresie od lat sześćdziesiątych XIX w. aż po lata sześćdziesiąte XX w. stanowiła obsesję kulturową rosyjskiej i sowieckiej inteligencji. Chyba nigdzie na świecie nie było takiej konsekwencji w batalii prowadzonej przeciw banalności. U Dostojewskiego poszły jest przymiotem diabła (a przynajmniej jego powieściowej, jakby z koszmaru sennego, zjawy), podczas gdy Aleksander Sołżenicyn korzysta z tego określenia, by scharakteryzować prozachodnio nastawioną młodzież. [s. 41]

Jak pisze dalej Boym: „Poszłość oraz jej namiętna krytyka stanowią trzon definicji określającej rosyjską tożsamość, zarówno narodową, jak i kulturalną” (s. 44). Następnie zaś autorka śledzi, jak w zmieniających się warunkach politycznych owa pogardzana codzienność nie tylko ulegała naporowi oficjalnej ideologii, ale i stawiała jej opór. Z przyjemnością przedstawiamy naszym czytelnikom fragment tej książki.

Tak więc bieżący numer „Tekstów Drugich” ma przekonać czytelników, że ciekawe (bądź nudne) bywają nie tematy, ale ich ujęcia.

Zdzisław ŁAPIŃSKI